









PAMIĘTNIKI  
IGNACEGO HUMNICKIEGO

podał

ZYGMUNT HUMNICKI.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77  
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

ODBITKA ZE SFINKSA.

1913.



*Pamięć Józefa Michałkiewicza*

*Pracownicy*

*Humnicki*

*2. V. 9/13.*

PAMIĘTNIKI  
IGNACEGO HUMNICKIEGO

podał

ZYGMUNT HUMNICKI.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63  
WARSZAWA.

ODBITKA ZE SFINKSA.  
1913.

Nr. 22



12.981

---

Czcionkami Drukarni Naukowej. Warszawa, Mazowiecka 8.



## I.

Czytając niedawno pamiętnika Paska i Radziwiłła, które niez mordowany w pracach literackich Edward Raczynski wydał na widok publiczny, i znajdując czytanie dzieł podobnych bardzo użytecznym, przyszła mi myśl spisać w krótkości zdarzenia mego życia, nie dlatego, aby te zająć miały potomność, lecz jedynie w tym celu, aby dzieci moje miały w tem piśmie krótką wiadomość o dziejach swojej rodziny, tem bardziej, że, pisząc w późniejszym wieku życia, nie wiem, czy mi Opatrzność dozwoli, abym ich dojrzałości doczekał i ustnie im moje przygody opowiedział.

\* \* \*

Urodziłem się dnia 5 lutego 1798 roku w województwie Sandomierskiem, w obwodzie Opatowskim, we wsi Mnichowie, własności moich rodziców.

Ojciec mój, Wincenty Humnicki, który, dożywszy blisko lat 80, przed kilku laty zszedł z tego świata, tyle mi, ile zapamiętam, o ojcu swoim opowiadał. Ojciec jego, Piotr Humnicki, znacznych włości dziedzic w kraju, składającym dziś Galicję austryjacką, był przystojny i nadzwyczajnej siły; miał lat 45 w czasie, w którym się zaczynała konfederacja Barska, a że miał przyjaciół i znany był w okolicy za dobrze myślącego, pojeżdżało się do niego wielu panów i sąsiadów, radząc o Rzeczypospoli-

tej. Uczęstował ich hojnie, a po obiedzie chciał im przedstawić konie swoje, mówiąc, że dla szlachcica w tym czasie dobry koń i szabla lepsze są, jak murowane pałace. Wyprowadzono po jednym konie i strzelano im nad uszami, aby się w boju nie lękały.

Kiedy wyprowadzono jednego młodego konia i strzelono, wyrwał się, pomimo tego, że go dwóch silnych ludzi trzymało—kazał drugi raz trzymać, lecz, gdy się znowu koń wyrwał, „wielkie kpy z waszeciów!“ zawołał i, wzięwszy sam konia, kazał strzelać braciom szlachcie.

Gdy strzelono, rzucił się koń tak, że prawie w powietrze podniósł mego dziada, lecz go utrzymał, zawoławszy tylko na swą żonę: „Salusiul! czułem, że we mnie coś pękło“; w samej rzeczy krew się niebawem puściła ustami i nosem, nie mógł już na pokoje powrócić, lecz zanieśiony na łóżko przez służących we dwie godziny żyć przestał.

Tyle od Ojca mego o Dziadu moim słyszałem, to mi często mój Ojciec powtarzał, gdyż, jak mówił: odtąd w domu gospodarstwo marnieć i fortuna upadać zaczęła. Babka moja poszła powtórnie za mąż za pana Podlewskiego, który też już był wdowcem i miał jednego syna Szymona, który po dziś dzień żyje, którego pamiętacie, moje dzieci—ma dobra w Galicji, Libiertów, i dom własny w Krakowie. Ojciec mój miał wówczas lat 7, a brat starszy Ludwik, o którym później opowiem, lat 10.

Oddano ich na naukę do Krakowa, skąd już w roku 18 życia mój ojciec zaciągnął się, jako towarzysz, do kawalerji narodowej pod chorągiew Lubowidzkiego, gdzie tylko sama szlachta służyć mogła, a to dlatego, że w tej chorągwi miał ojciec krewnego swego, pana Waksmana, lecz ja tej familji nie znam.

Ojciec mój, doszedłszy rangi porucznika a w końcu rotmistrza kawalerji narodowej, w ciągu trzydziestoletniej

służby bardzo liczne miał fortunne i niefortunne zdarzenia.

W Tulczynie i Białocerkwi na Ukrainie najdłużej z komendą stawał; Szczęsnemu Potockiemu i Hetmanowi Branickiemu dobrze był znany i wziętość, bogactwa, dumę tych panów dobrze opisywać umiał.

Był jako adjutant dodany dla konwojowania króla Stanisława Augusta do Kaniowa w czasie sławnego w dziejach zjazdu tego monarchy z imperatorową Katarzyną; tam pozyskał od króla pierścień brylantowy z cyfrą królewską, który ja jeszcze zapamiętałem, a który później brat mej matki, Józef Barzykowski, z innymi pamiątkami w Krakowie zatracił. Pozostał tylko w papierach moich patent dla ojca z własnoręcznym podpisem Stanisława Augusta i list własnoręczny Kościuszki do ojca po bitwie pod Krupczycami, która poprzedziła nieszczęśliwą Maciejowicką potyczkę.

Tu ojciec mój, straciwszy dwa konie pod sobą, był ranny, lecz się do niewoli nie dostał, gdyż go żołnierze na płaszczach wynieśli.

Po tej nieszczęsnej bitwie, która sławne w dziejach powstanie Kościuszki dokończyła, ojciec mój dostał się w ręce Austryjaków, u których najgorszego doznał obciążenia. Zabrali konie, pieniądze i sprzęty wojenne; ojciec mój pod Maciejowicami wraz z Ojczyzną wszystko utracił, ile że majątek jego już był na usługach wojskowych zupełnie sterany.

Dostawszy się do Opatowa, nigdzie pasportu dostać nie mógł. Wiadomo jest, że rangi wojskowe w ówczesnej Rzeczypospolitej kupowane i sprzedawane były. Wszystkie trzy dwory przyrzekły uroczyście takowe rangi zapłacić, lecz, ile mi wiadomo, jeden tylko rząd pruski jakąś część wypłacił tym, którzy się pod rząd pruski dostali.

W Opatowie ojciec poznał się na odpuście z matką, która do śmierci była bardzo nabożną. Z nią się ożenił i tym sposobem osiadł w Sandomierskiem, kupiwszy później wieś Czajęczyce pod św. Krzyżem, którą ja, ożeniwszy się, za 90 tysięcy złp. od ojca nabyłem.

Ojciec mój lubił konie—to była jego główna namiętność. Trzydzieści lat służąc w kawalerji, był doskonałym znawcą i wybornym jeźdźcem.

Za Księstwa Warszawskiego wyznaczony jako radca powiatu Opatowskiego do zaprowadzenia do Warszawy kilkuset koni z Województwa Sandomierskiego dla armji francuzkiej, które zaraz płacone być miały, gdy mu Westfale te konie gwałtem zabrali i gdy, za wstawieniem się jenerała Fiszera i Stasia Potockiego, uzyskał pozwolenie króla Westfalskiego, aby sam w obozie z pomocą żandarmerji konie swoje poznawał i odbierał, ojciec mój więcej niż połowę koni poznał i odebrał.

Zresztą ojciec mój był bardzo ludzki i wesoły; lubił zawsze o wojskowych rzeczach opowiadać, a wojskowość i konie były jego do śmierci ulubionym przedmiotem.

Był też bardzo pracowity; chociaż nietyle nabożny, co matka, jednak nigdy nie dał złego przykładu.

Z Józefem Zajączkiem, później księciem i namiestnikiem Królestwa, z którym niegdyś wojskowo kolegował i w takiej zostawał przyjaźni, że przez kilka lat na Ukrainie w jednej stancji mieszkał, wspólną usługę, wspólne konie i suknie mieli, poróżnił się później i pojedynkował; potem nigdy się już z nim nie widział, ale o szczegółach pojedynku ojciec nigdy nie powiadał.

Matka moja, z domu Barzykowska, a urodzona z Rupniewskiej, który to dom, lubo zamożny i z wielu pierwszemi rodzinami połączony, dziś jednak podupadł, była kobietą, jakiej później w życiu mojem nie spotkałem. Łagodna, pracowita, pobożna, męża swego, z którym prze-

szło trzydzieści lat przeżyła, nad życie kochała, tak że do śmierci prócz swego Wicusia nic nie widziała; pamiętam jeszcze, że, kiedy ojciec o milę lub dwie w sąsiedztwo pojechał, spać nie mogła, tylko tęskniła i nieustannie za ojcem wyglądała. Takie małżeństwo było rajem na ziemi i prawdziwym szczęściem od Boga.

Śmierć matki na parę lat przed śmiercią ojca nastąpiła; matka pochowana w Wiśniowie, a ojciec w Bielinach pod św. Krzyżem, gdyż tam u córki śmierć go zaskoczyła. Pan Bóg mi to dał, że, lubo już wtenczas mieszkałem w województwie Krakowskiem, w dobrach własnych Tuczępy, byłem jednak przy śmierci obojga rodziców i obojgu synowską posługę oddałem.

Straciwszy matkę i ojca, ile że to było po 1830 roku, niepokieszony straciłem cały powab życia i z tej wesołości humoru mały tylko ślad pozostał, który w gronie żony mojej i dzieci niekiedy zabłysnął. Pierwsze to są i najświętsze związki rodziców z dziećmi; nic im nie wyrówna i nic ich nie zastąpi. Ta matka, której czułość i drobiazgowo strofowanie tak nas nudzą, ten ojciec, którego władza tak nam niekiedy ciąży, jakżeby z duszy naszej radzi być słuchani wtenczas, gdy ich granice grobu przedziela! Szanujcie ich starość—wasi to najlepsi przyjaciele, wasz skarb drogi, który raz stracony więcej nie wrócił

## II.

Wspomniawszy o mojem urodzeniu, o wychowaniu i początkowej edukacji mówić przychodzi. O siedmiu pierwszych latach, które w mgłę dzieciństwa przesnute malowane biczyki i bańki z mydła zapełniają, niema co powiedzieć. Muszę przecież wspomnieć jednego z tej epoki figła, który był powodem wcześniejszego mnie do szkół

wysłania, co i na dalsze władz umysłowych rozwijanie wpłynąć mogło.

Siedem lat mając, pobiegłem do stodoły, gdzie właśnie groch młócono. Wziąwszy kilka ziarn, nakładłem sobie do nosa i wróciłem do domu. Groch przez noc napęczniał, parę ziarenek w nocy wyjąłem, rozumiejąc, że już nic nie zostało. Trzeciego dnia dopiero mocny ból w nosie uczułem. Na płacz i krzyk położyła mię matka w łóżko i już na krok nie odstępowała, rozmaite przyrządzając lekarstwa. Ja zaś, bojąc się ojca, powiedziałem, że mnie żołądek boli.

Nuż dopiero rumianek, mięta i t. p. — tak upłynęło dni parę; nazajutrz zapowiedziano inny środek domowy, którego zbyt się bojąc, przyznałem, że mnie nos boli, bo mi tam groch wleciał.

Wprawdzie nos był spuchnięty i rozogniony, ale matka moja miała wzrok bardzo krótki i tego nie dostrzegła. Ojciec dopiero, przyszedłszy, kazał wydobywać nieszczęśliwe ziarna, które już kielki puściły. Pamiętam, że się mocno zgniewał: „z tego jedynaka nic nie będzie, dawno ci mówiłem, nie można go w domu trzymać, lecz do szkół posłać trzeba“. Tym więc sposobem zdecydowano w kilka dni odwieźć mię do Słupi, gdzie miejscowy proboszcz, ksiądz Mołętowski, utrzymywał wyborną pensję, z kilkunastu młodzieży złożoną.

Pensja ta taką miała wziętość, że i z dalszych stron tam oddawano; wówczas był Stanisław i Wincenty Karwicy, z których pierwszy, pan miljonowy, jako prosty żołdat w Mingrelji, na granicy perskiej za polityczne opinie życia dokonał. Byli bracia Reklewscy, z których najstarszy, Wincenty, wielkich nadziei młodzieniec, w 27 roku, jako pułkownik artylerji w kampanji francuskiej umarł w Moskwie. Młody ten wojownik był i poetą; po jego

śmierci „Pienia wiejskie“ w Krakowie wyszły na widok publiczny.

Rzecz niezawodna, że pierwsze rozwijanie władz umysłowych wielki na przyszłość wpływ wywiera, wpajanie w młode serca szlachetnych uczuć najlepiej się udaje, dlatego jest ważną dla rodziców rzeczą, kto ma pierwsze uczucia obudzać, pierwsze myśli otwierać, słowem, kto ma rzucić pierwszy szkic tej wielkiej budowy, która tak o przeznaczeniu indywidualuów, jak i narodów całych, stanowi.

Wprawdzie edukacja publiczna ma zawsze wielką wyższość, lecz do lat 10 lub 12 życzyłbym wszystkim ojcom i matkom na prywatne pensje oddawać, w domu bowiem pobłażanie matek psuje często najlepsze nauczycieli chęci.

Wracając się do ks. Mołętowskiego, nadmienić trzeba, że trzy lata z pożytkiem tam przepędziłem. Nauczyłem się czytać, pisać, rachować, tudzież początków francuskiego i niemieckiego języka.

Była też tylko mila od domu rodziców, więc mię często odwiedzali, na święta brali, a matka prawie co niedziela przysyłała pierniczków i placków.

Po trzech latach zdecydowano oddać mię do Kielc, do szkół publicznych—umieszczono mię na stacji u prefekta tychże szkół, ks. Jastrzębskiego, człowieka zbyt surowego i więcej swymi interesami, jak nami, zajętego.

Tu ponieważ już nie bywało posłańców z domu z łakociami, przyszła mi myśl sprzedać scyzoryk na wiśnie i gruszki, później sprzedałem kamizelkę, a powoli większą część mojej bielizny i garderoby; przełożony mój wtenczas się o tem dowiedział, gdy już w kuferku nic nie było.

W klasie także nie lepiej się działo, jak w domu. Było-to w nieszczęśliwej dla edukacji epoce austryjackiej.

Wszystkich prawie przedmiotów uczono po niemiecku; nie rozumiejąc języka, nie rozumiało się i przedmiotu.

Nikt się też tem nie ambarasował. Przyjechawszy dopiero na wakacje, zwrócił uwagę mój lekki kuferek. Rok ten był dla mnie zupełnie stracony, bo przyznać trzeba, że zapomniałem, czegom się w Słupi nauczył, to też większego, jak wtedy, gniewu Ojca nie pamiętam. Rozpłakałem się, upadłem do nóg Rodzicom, lecz co więcej, we własnem przekonaniu uznałem się winnym.

Ojciec postanowił odwieźć mnie do Krakowa, oddano mnie tedy na pensję pana Korczyńskiego, gdyż już zaczynałem rok dwunasty.

Pierwsze trzy lata uczyłem się dobrze, to jest mniej od wszystkich, jednakże, obdarzony bystrą pamięcią, odczytałem lekcję, idąc do klasy, i zawsze umiałem, co rok też uzyskiwałem promocję i pochwałę. Były też to już czasy Księstwa Warszawskiego, i edukacja z zapełnionej niemczyzny raptem się otrząsnęła. W czwartym roku mojego pobytu w Krakowie zaciągano młodzieź do gwardji Napoleona, kilku ze starszych kolegów z tej pensji przystało. Mnie też zachciało się ostróg i munduru; kieleckie wróciły się nałogi: posprzedawałem suknie i jednego dnia, zamiast do klasy, poszedłem na Podgórze, gdzie przyjmowano do wojska. Udałem się do wskazanej mi kwatery dla pisarza. Wszedłem: w szlafroku czytał książkę. „Co chcesz, chłopcze?“. „Chcę przystać do gwardji Napoleona“. „Ty do gwardji? Jak się nazywasz? Wiele masz lat?“ i t. d. Skoro mu moje nazwisko, wszelkie szczegóły opowiedziałem (a trzeba wiedzieć, że miałem lat 15, chodziłem bez chustki na szyi z kryzami i więcej do dziecka, jak do żołnierza byłem podobny), rozśmiał się, zadzwonił—wszedł podoficer wąsaty.

„Słyszysz, odprowadzisz mi tego panicza na ulicę Szewską, do pana Korczyńskiego. Ja znam twoją familję;



nie potrafiłbyś jeszcze konia wychędożyć, ucz się, a za trzy lata, gdy tu przyjadę, to cię przyjmę”.

Nie poszła mi do smaku ta odpowiedź, a jeszcze więcej ten wąsaty podoficer, który mnie poprostu za rękę odprowadził. Co to wstydu i wyśmiewania kolegów, co groźb i gniewu panów profesorów, opisać niepodobna, gdyż w tej chwili i stan mojej garderoby wydał się zupełnie. Dodać tu trzeba, że kapitan ów na Podgórzu był zacny i pocziwy Hermelaus Jordan. Trzeba zdarzenia, że, nie widziawszy go lat kilkanaście od owego spotkania na Podgórzu, spotkałem go jako kolegę w roku 1828 w Dyrekcji Głównej Towarzystwa Kredytowego, gdzie też Radcą z Województwa Krakowskiego był wybrany. Poznałem zaraz tego, co mi tyle kłopotu narobił. I on przypomniał sobie to zdarzenie—uściskałem go i w ciągu kilkoletniego z nim urzędowania zawsze go szczerze kochałem.

Lecz wróćmy do pana Korczyńskiego. Edukacja była wówczas zbyt niedołączna: po wypędzeniu Niemców zastąpiono wszystkie posady nauczycielskie Polakami, którzy się do tego stanu nie sposobili. Pod takimi ludźmi ukończyłem 6 klas gimnazjalnych i przeszedłem do Akademii Jagiellońskiej, która też mało bieglejszych miała profesorów.

Chodziłem na wydział filozoficzny i prawny. W tej epoce nastąpiła śmierć Kościuszki; wypadek ten obudził w sercu młodzieży uczucie żalu i wszystkie wspomnienia przygód narodowych. Pierwszy wiersz, ile zapamiętam, napisałem na śmierć tego bohatera; utwór ten, wydrukowany na bibule „Gazety Krakowskiej“, zyskał pochwały kolegów, a nawet ówczesny profesor literatury, p. Czajkowski, z katedry nam go deklamował. Pochlebiało to bardzo miłości własnej, i zacząłem myśleć, czybym nie mógł na tej drodze dalej postąpić. W parę miesięcy napisałem oryginalny dramat pod tytułem „Goworek“, który, wysta-

wiony na teatrze krakowskim, liczne zyskał oklaski. Zapytano się o autora!

Od tego czasu rozumiałem się być ważnym człowiekiem. Kiedy jednak w parę lat później przeczytałem tę lichą ramotę, wstydziłem się i za siebie i za publiczność, która klaskała. Sztuka ta oprócz łatwej wersyfikacji, ani dramatyczności, ani poezji w sobie nie miała; jednakże ten był powód, że już wydział prawny opuściłem, a wyłącznie literaturą trudzić się począłem. Dużo czytałem i pożerałem prawie każdą książkę. Tragiedje klasyków francuskich, jeszcze wówczas za arcydzieła uznawane, na pamięć umiałem; to też było powodem, że później wiele myśli Kornela, Rasyna, Woltera po moich dziełach się płacze, bo, pisząc oryginalne sztuki, nieraz pamięć za mnie myślała, i często, co sądziłem być moją własnością, było tylko przypomnieniem pamięci.

W roku 1818 opuściłem Kraków.

W domu chciał mnie ojciec użyć do gospodarstwa, mało jednak był ze mnie kontent: we wszystkim brakowało mi dokładności, najlepiej lubiłem dumać sam z sobą, co ojciec zawsze głupstwem nazywał. Mnie też przykrzyła się jednostajność życia domowego; tęskniłem do kolegów, z których wielu przeniosło się do Warszawy. Nadmieniłem nieraz, że i mnieby tam jechać potrzeba; ojciec nie bardzo na to zezwalał, ile że stan majątkowy moich rodziców na koszty utrzymania w stolicy nie wystarczał.

Ja czułem w sobie siły do pracy, pochwały moich poetycznych zdolności. grały mi jeszcze nad uszami. Fe-liński napisał był wówczas oryginalną tragiedję „Barbara Radziwiłłówna“. Sztuka ta jeszcze w rękopisie wpadła mi w ręce, pochwały, jakimi ją okryto, drażniły moją miłość własną. Gdy jednak ojciec przeciwny był jechaniu do Warszawy, ja, mając tam przyjaciela ze szkół krakowskich, Romana Bierzyńskiego, który już był umieszczony

w ministerstwie spraw wewnętrznych przy Radcy Stanu Sumińskim, napisałem do niego na pocztę, aby mnie z domu wywabił. Jakoż wkrótce napisał do mnie, że w biurze, gdzie pracuje, byłoby i dla mnie stosowne miejsce, że już radcy stanu o mnie mówił i że mnie przedstawi, bylebym najwcześniej do Warszawy przyjechał. Po tym liście ojciec nie mógł się więcej opierać. Dał mi florenów dziesięć na drogę, abym się więcej nie spodziewał. Matka zaopatrzyła mnie w bieliznę, co mogła, nadawała, i do Warszawy ruszyłem. Stanąwszy pierwszy raz w mieście tak wielkiem, dopytałem się zaraz na ulicę Freta do mego przyjaciela; przyjął mnie i uściskał, ofiarował mi wspólną stancję, w której z trudnością dwa łóżka stanąć mogły.

Wkrótce poznałem, że stan mego przyjaciela nie był zbyt świetny: miał 120 złotych miesięcznie, nie trzymał służącego, rano wstawał, sam sobie suknie czyścił, w biurze też żadnego miejsca dla mnie nie było. Kieska moja coraz się zmniejszała; udawałem się do różnych władz, lecz wszędzie trzeba było parę lat bezpłatnie pracować, aby się czegoś dosłużyć.

Pewnego dnia, kiedy już ostatniego dukata zmienić przychodziło, wstałem ranej jak zwykle i udałem się do księży Pijarów. Modliłem się z serca, a po kościele przyszła mi myśl udać się do pewnego mecenasa, gdzie jeden z moich znajomych pracował, w pałacu Potockich, w oficynie—niejaki mecenas Wiśniewski, człowiek zacny i światły. Ofiarował mi stół i stancję, byle u niego pisywać. Tu po niewygodzie dwumiesięcznej dostałem się jak do raj. Najczęściej patron sam mi dyktował obrony, a czasem powierzał samemu wypracować obrony w sprawach mniejszych, kryminalnych. Wiadomo, że takie sprawy z urzędu bezpłatnie mecenasom oddają, o takie też najmniej sobie głowy łamią. Kilka podobnych obron nie-

źle napisałem, mój mecenas coraz mnie więcej lubił, i byłbym może na tej drodze zrobił dalszą karierę, gdyby pociąg mój do poezji nie był wyższy nad wszystko.

Mając czasem pieniądze, chodziłem na teatr. Już wtenczas schodził z pola Bogusławski, który stworzył scenę Warszawską; w „Krakowiakach i Góralach“ pierwszy raz go widziałem. Leduchowska, Kudlicz, Szymanowski i Werowski byli rozkoszą publiczności. Oprócz teatru zacząłem chodzić na literaturę Osińskiego. Któż nie zapamięta cudownej deklamacji tego męża? Młodzież, panowie i panie cisnęli się, aby popieścić ucho wdziękiem prawdziwie polskiej wymowy.

Nie zaniedbywałem też innych przedmiotów wydziału filozoficznego i nauk przyrodniczych.

Skrodzki fizykę, Pawłowicz mineralogję, a Skarbek ekonomję polityczną z prawdziwym pożytkiem dla kraju wykładali.

Co za różnica od tego, co się w Krakowie uczyłem! Poznałem, jak nisko jestem i zacząłem się szczerze oddawać naukom.

Wówczas napisałem oryginalną tragiedję „Żółkiewski pod Cecorą“. Sztukę tę pierwszy raz przedstawiono w roku 1819.

Nigdy nie zapomnę pierwszego wrażenia, kiedy ją wystawiono: niepewność i bojaźń młodego poety poeci tylko pojmą i zrozumieją. Po pierwszym akcie głucho milczenie jak przykutego w kąciку parterowym trzymało; w drugim akcie dały się słyszeć oklaski, w trzecim huczne brawo, w czwartym i piątym zapał publiczności do najwyższego stopnia wzrósł i wybujał.

Jak mi serce biło, jakiego uczucia doznałem, kiedy nazwisko moje ogłoszono, kiedy parę tysięcy osob oczami mię szukało. Wielu panów orderowych, jenerałów, literatów i t. d. zbliżało się do mnie i winaowało.

Juljan Ursyn Niemcewicz, ten zasłużony towarzysz Kościuszki, ten Nestor literatury polskiej, przysłał do mnie, aby go nazajutrz odwiedzić. Nie dosyć na tem, kiedy aktor przyszedł zapowiadać inną sztukę, publiczność jednomyślnie wołała: „Żółkiewski, Żółkiewski“ i nic więcej.

Tak więc sztuka ta kilka razy raz po raz była przedstawioną.

Wyznaję, że to powodzenie było nad moje spodziewanie, nie umiałem się posiąść z radości, bom nie wiedział, że głośne pochwały głośną zawiść wywołują, bom nie wiedział, że patriotyczne myśli, po całej sztuce rozlane, obudzą czujność Wielkiego Księcia Konstantego, który swoją stopą Warszawę przygniatał.

### III.

Na czwartym przedstawieniu „Żółkiewskiego“ natłok był większy, jak kiedykolwiek; publiczność, nie mogąc znaleźć miejsca do krzeseł, wypędziła orkiestrę i miejsca tejsze zajęła. Na parterze taki był natłok, że parę osób zasłabło, które z trudnością wyniesiono. Od tego czasu policja kazała teatr rozmierzyć i wydała rozkaz, aby tylko oznaczoną ilość biletów sprzedawać. Owego to wieczora znajdował się także na teatrze Wielki Książę Konstanty z księżną Łowicką.

Wprawdzie w tej epoce nie zwykł był uczęszczać na scenę ojczystą; wraz z elegancko-rosyjskim światem bywał zawsze na teatrze francuskim, który też wówczas miał dość dobrych aktorów. Dziwiłem się więc, ujrawszy w łoży królewskiej Cesarzewicza; z początku niewiele zdawał się zajmować sztuką i więcej z księżną Łowicką roz-

mawiał, dopiero kiedy Kudlicz w roli Koniecpolskiego rozdziera rozkaz króla i rzuca pod nogi, mówiąc:

„Polak gardzi groźbami, nie ulega dumie,  
Na wolnej zrodzon ziemi, wolność cenić umie;  
Wielbi Ojców Ojczyzny, nienawidzi Panów  
I krwią ryte rozkazy zmaże w krwi tyranów“—

Wielki ksiązę, jak-by ze snu obudzony, rzucił się, zawołał adjutanta od służby, i wnet pułkownik placu Akşamitowski i wiceprezydent Lubowidzki przed lożą księcia stanęli. Niedługo i ja ujrzałem przeciskającego się do mnie Lubowidzkiego.

Wziął mię za rękę i oświadczył, że z rozkazu Cesarzowicza mam się z nim udać natychmiast.

Przyprowadzony do loży zostałem zagadniony po francusku: „Złeś sobie postąpił, że przedstawiasz publicznie takie zgorszenie, trzeba żebyś to odmienił. Ja ci radzę. Jak to rozdzierać rozkaz króla?“

Dotąd mówił łagodnie—wtem jakby go coś podleciało, podniósł się z miejsca i w największej złości, grożąc mi pięścią pod nos, mówił po polsku: „A wiesz ty, co to król, a wiesz ty, co to król“ — kilka razy to samo powtórzył.

Zniecierpliwiony chciałem odpowiedzieć, że właśnie dlatego umieściłem to na scenie, żeby pokazać, że jest złem, gdyż stary Żółkiewski nagania takie postąpienie Koniecpolskiemu. Chciałem mu to powiedzieć po francusku, gdyż mi się zdawało, że lepiej ten język rozumie Lecz co tylko wyrzekłem „Mon Seigneur“...—„Cyt, cyt—kilkę razy zawołał...— révolutionnaire, liberały! Je te ferai pendre, każę cię powiesić!“— Tupał, krzyczał, wreszcie odwrócił się i ja wyszedłem.

Wracającego od księcia pełno osób ścisłało i witało. Owczesny minister oświecenia Stanisław Potocki przysłał po mnie, aby mu całą rozmowę z księciem powtórzyć. Publiczność jeszcze więcej klaskała, tak że prawie każdej lepszej myśli oklaski i fora towarzyszyły.

Tu jest na miejscu wspomnieć o krytyce tej sztuki, przez Franciszka Dmochowskiego napisanej.

Młody ten człowiek nie bez zdolności, dawszy na teatr parę tłumaczeń sztuk francuskich, które dosyć zimnego doznały przyjęcia, nie mógł mi darować, że publiczność tragiedję moją takimi pochwałami obsypuje.

Dowcipnie i z wielką złością napisał recenzję tragiedji mojej i broszurkę tę, dosyć znaczną, do „Gazety Warszawskiej” bezpłatnie dołączył, gdzie, między wielu fałszami, miał bezczelność napisać, że publiczność warszawska w przyjęciu tej sztuki pomyliła się! Nietylko więc autora, ale i publiczność zaczepił; w końcu sztuki w czasie największych oklasków, wiele osób zbliżyło się do mego krytyka i, pod nos mu klaskając, mówili: „Patrz, panie Dmochowski, jak się publiczność myli”. Niedosć na tem, głucha wieść niosła, że studenci po teatrze gdzieś tam na Zapiecku pana Dmochowskiego przetrzepali. Ja jednak wyznaję, że żadnego udziału w tej sprawie nie miałem; widziałem tylko na tytule recenzji pana Dmochowskiego podpisane po łacinie: „Sus Minervam docet”, co mi gorycz samej recenzji nieraz osłodziło. Tym sposobem odbyło się ostatnie wystawienie tragiedji „Żółkiewskiego” za rządów Cesarzewicza, gdyż nazajutrz wyszedł rozkaz, zakazujący tej sztuki; przyczem skasowano cenzora Widulińskiego, człowieka z lichą głową, lecz mającego żonę piękną i rozumną.

W parę dni pan Niemcewicz kazał mi być u Wojewody Potockiego; przyjął mnie uprzejmie, pytał się o moją familję, o mój stan, a widząc, że nie mam żadnego sta-

tego zatrudnienia w Warszawie, kazał mi być u siebie, w Wilanowie.

Zastąpiłem tego męża, rozkładającego na podłodze piękne malowania, które świeżo nadeszły z Paryża: „Sia-  
daj, młody poeto, i podziwiał arcydzieła sztuki”—poczem oddalił się do innych salonów i jakby o mnie zapomniał. Niebardzo mi się to przyjęcie spodobało; czekając z go-  
dzinę, już byłem gotów wychodzić, gdy Stanisław Potocki zbiżył się do mnie, mówiąc: „Chciałbym Wać Panu być  
w czym użytecznym: biblioteka moja wilanowska jest  
w nieporządku—chciałbym, abys ją Pan uporządkował  
i spisał katalog. To zatrudnienie nie będzie bez pożytku  
dla jego talentu; pan Buczyński plan mu doręczy, podług  
którego życzę abys postąpił. W wątpliwościach, gdybyś  
miał jakie, poradź się Niemcewicza“.

Uporządkowawszy bibliotekę wilanowską, co przeszło  
dwa miesiące czasu zabrało, przyczem miałem zreczność  
poznać dobrze Stanisława Potockiego, Juljana Niemcewicza,  
Lindego i t. d., gdy już czynność ukończyłem, pan Potocki  
mi oświadczył, że na przyszły rok chce otworzyć w Uni-  
wersytecie Warszawskim katedrę literatury polskiej i mnie  
do tego przeznacza. Życzyłby jednak, abym w tym roku  
dawał literatury w wyższych klasach Liceum Warszawskie-  
go, a to dla przysposobienia się lepiej do tego przedmiotu;  
kazał mi w tym interesie rozmówić się z panem Linde i dał  
mi list do niego,

Uczony ten Niemiec, ówczesny rektor Liceum War-  
szawskiego, dał mi poznać, że tu wszystko od niego za-  
leży, jednakże rozkaz ministra spełniony będzie, lecz  
trzeba zapomnieć tych patryjotycznych myśli, trzeba się  
przejąć planem edukacyjnym, bo to jest młodzież, od ro-  
dziców zepsuta — „tylko Ojczyzna, tylko wolność i t. p.  
głupstwa!“



Nie zdziwiła mnie ta mowa, gdyż sposób myślenia tego cudzoziemca znany był w całej Warszawie. Z niecierpliwością zniosłem te uwagi, ile że do posady tej przywiązana była pensja roczna 4 tysiące złp., których bardzo potrzebowałem, bo lubo księgarz Glücksberg dał mi za rękopis Żółkiewskiego 100 dukatów, jednakże kwota ta była już na dokończeniu.

Rozpocząłem nowy mój zawód czytaniem rozprawy o literaturze narodowej. Wzory najlepszych poetów i mówców często czytywałem. Przedmiot ten więcej nad inne młodzież zajmował; największa cichość panowała, kiedy ja wszedłem na katedrę, a po godzinie cała prawie młodzież odprowadzała mnie do mieszkania, które wówczas było na Krakowskim-Przedmieściu obok poczty, w domu pani Brzezińskiej, gdzie była na dole kawa, sławna na całą Warszawę.

Wówczas to poznałem Porębskiego z Ukrainy, Piątkiewicza ze Lwowa, Kalinowskiego ze Żmudzi i Kelera z Królestwa.

W pięć osób przysłała mi myśl założyć towarzystwo tajne, co też wkrótce wykonaliśmy, bo egzekucja myśli młodzieńczej ma szybkość błyskawicy. Przy ulicy Ś-to Krzyskiej w oficynie drewnianej na dole piewsze odbyły się schadzki. Było to mieszkanie jednego z członków, gdzie zawsze znajdowaliśmy składkowe piwo i fajki.

Nie chcę opisywać śmieszności naszego towarzystwa; pięciu studentów chciało reformować Europę; każdy z nas przeznaczony był do stolicy innego państwa, gdzieśmy przyjmować członków i wspólnie działać mieli. Wykonaliśmy przysięgę i ułożyli sekretny charakter do korespondencji

Niedługo jednak popadł między nami w podejrzenie kolega nasz Piątkiewicz; odkryliśmy, że w godzinach ran-

nych jeździł zawsze dorożką do konsula austriackiego Puszeta.

Podejrzanie to stało się tem silniejsze, że na sesjach naszych on był zawsze najzapaleńszy. Wkrótce postanowiliśmy wymówić mu w oczy nasze podejrzanie i towarzystwo rozwiązać; upoważniony do tego Keler wymownie mu naszą nieufność wytłomaczył, poczem też towarzystwo rozwiązało. We dwa tygodnie nastąpiło aresztowanie Kelera, który, wysiedziawszy kilka niedziel w placu, został umieszczony w biurze Nowosilcowa. To umieszczenie Kelera w biurze dyplomatycznym—paniczny postrach na nas rzuciło, codzień wyglądaliśmy naszego uwięzienia.

Ja zaś, gdy się rok szkolny ukończył, odstąpiłem dobrowolnie ofiarowaną mi posadę w Uniwersytecie Kazimierzowi Brodzińskiemu i wyjechałem do rodziców.

Co się tyczy Kelera, niesłusznieśmy go posadzili: nikogo nie zdradził, później był adwokatem w Kielcach, zostawił opinię światłego i uczciwego człowieka.

Kalinowski w roku 1830 powstaniem na Żmudzi dowodził, Piątkiewicz w tymże roku był posłem z krajów zabranych, Porębski miał umrzeć w niewoli rosyjskiej.

#### IV

Parę lat bawiłem na wsi, i po burzliwym życiu w stolicy samotność wiejska dziwnie mi smakowała. Stosunki jednak moje z młodzieżą warszawską często mię niespokojnym czyniły. Nieraz mię przenikało do gruntu, kiedym zobaczył żandarma, zajeżdżającego do wsi. Zawsze sądziłem, że po mnie jedzie, jednakże dwa lata upłynęło, i żadne zdarzenie nie przerwało mojej spokojności.

Światlejsi sąsiedzi, których doleciała moja sława literacka, zniewalali mię swoją uprzejmością; ojciec, który nie

lubił wierszy, jednak kilka razy „Żółkiewskiego“ czytał; dusza jego polska uśmiechała się do każdej patryjotycznej myśli. Matka i dwie siostry słodziły mi życie; największą miałem rozkosz, dumając w ogrodowym szpale-rze, z którego nieraz promienie gasnącego słońca, odbite od szczytu gór Świętokrzyskich, padały na mojego Kor-nela lub Rasina.

W owej epoce napisałem tragedję „Edyp“ i przetłomaczyłem filozofję pułkownika Wajssa. Serce też moje doznało pierwszy raz niejakiego zajęcia. W Krakowskiem, w domu familijnym, poznałem pannę J. R. Nie piękność, nie majątek, nie talenta, lecz jakąś naiwność, jakąś ujmu-jącą dobroć i czułość upodobałem sobie w tej panience. Zdawało mi się, że ona mnie więcej nad innych rozumie. Często też tam wyjeżdżałem, co gdy rodzice spostrzegli, okazali mi zupełną niechęć. Ja też nie powiem, abym się zakochał, była to raczej dystrakcja w życiu umysłowem niż miłość. Gdy jednak rodzice nie pozwalali mi jeździć w Krakowskie, zacząłem się nudzić. Matka moja, która była bardzo nabożna, dlatego nie dała sobie wspomnieć o tej paninie, że familja ta niedawno z kalwinizmu na łono kościoła rzymskiego przeszła; mówiła więc, że błędy jej przodków i wiara, którą wiele jej krewnych jeszcze wyznaje, może łatwo skazić serce niewinne.

Zdawało się też, że czas uspokoił troskliwość Księcia Konstantego, pragnąłem tragedję „Edyp“ na scenie warszawskiej pokazać—słowem zacząłem tęsknić za stolicą, z którą mnie tyle wspomnień łączyło. W owym czasie Namiestnik Królestwa, Książę Zajączek, będąc w Radomiu, zapytywał o mego Ojca, z którym młode lata, jak się wyżej nadmienilo, w ścisłej przyjaźni przepędził; to dało mi myśl, aby się udać do Warszawy i nanowo zawód publiczny rozpocząć.

Wkrótce potem, przybywszy do stolicy, udałem się

do księcia, który mnie uprzejmie przyjął i o szczegóły powodzenia ojca mego troskliwie dopytywał; wskutek jego polecenia umieszczony zostałem w Radzie Stanu.

Niedługo wystawiona na scenie warszawskiej tragiedja moja „Edyp“ z uniesieniem przyjęta była; wyborni artyści, Kudlicz, Szymanowski, Werowski, Leduchowska, Rzucowska, dobrą grą swoją sztukę tę wysoko podnieśli. Kilka reprezentacji, jedna po drugiej odbyte, spowodowały coraz większy natłok widzów i coraz większe oklaski, przez co czujność Rządu obudzona i wskutek rozkazu pana Grabowskiego, ministra oświecenia, sztuka ta zakazana została. Zakaz ten liczne dla mnie przyniósł nieprzyjemności; jenerał Kossecki, w którego biurze, jako adjunkt rady stanu zostawałem, oświadczył mi swoje nieukontentowanie—zdawało się, że dla mnie wszelkie widoki w Rządzie na zawsze zniknęły. Tak upłynął rok od zakazania „Edypa“, wszystkie pisma krajowe, a nawet niektóre zagraniczne, pochlebnie o tej sztuce wspominały, bo to ma do siebie wszelka rzecz zakazana, że się lepszą wydaje, jak jest to w istocie.

W tej epoce przypadła wielka powódź w Petersburgu, przez wylew Newy zrządzona. Otworzono liczne składki na dochód mieszkańców Petersburga. W tej chwili doradzono mi napisać do Wielkiego Księcia, aby tragiedję moją wystawiono na dochód mieszkańców Petersburga. Napisałem tego samego dnia, i na skutek mego listu gienerał Kuruta z polecenia Cesarzewicza przysłał rozkaz do Księcia Namiestnika, aby sztukę na teatrze wystawiono, „ile że autor ma tak szlachetne zamiary“.

Okoliczność ta dała mi poznać dworszczyznę moich przełożonych. Gienerał Kossecki przywołał mnie i winshawał, minister Grabowski powiedział mi, że sztuka ta nie ma nic przeciw religji i dobrym obyczajom, że zakaz

jej był skutkiem wyższego rozkazu, i że się cieszy, skoro go usunięto.

Sam nawet pocziwy Staszyc wezwał mnie do siebie, lecz ten żądał tylko, aby mu podanie moje do Wielkiego Księcia przeczytać. Wielu innych panów ukłonem i uprzejmem spojrzeniem dało mi uczuć, że teraz jestem człowiek, z którego klątwę zdjęto i który przecież wyżej wyjść może.

Następnego wieczoru wystawiono „Edypa”; wszystkie miejsca były zapełnione, jednakże parter nie był tak ścięśniony. Studenci, owa młodzież akademicka, która najczęściej klaskała, prawie nie była obecna; zdawało się, że cel, na który sztukę dawano, nie był wszystkim do smaku.

Co bądź, wyszedłem z pod zarzutu.

Nastawał Sejm 1825 roku, na który do spisywania czynności z Rady Stanu przeznaczony zostałem. Sejm ten bez publiczności, przy zamkniętych drzwiach, pod przewodnictwem Marszałka Piwnickiego odbyty, ważne w dziejach narodowych zajmuje miejsce. Na tym sejmie minister Lubecki wprowadził projekt prawa o Towarzystwie Kredytowem, który, małą większością przyjęty, szczęśliwe wydaje owoce. Cały ten miesiąc upłynął mi najprzyjemniej, i czas ten do cukrowych chwil mojej młodości policzyć mogę. U Cesarza Aleksandra bywały codzień śniadania, na które i nas wzywano, u Marszałka, u Księcia Namiestnika, u pana Nowosilcowa, u Ministrów obiady i bale kolejną bywały, na które zawsze będąc proszonym, miałem zręczność poznać wielu panów, ale dym próżności nigdy mnie nie zalecał. Przedstawiany zawsze, jako autor dzieł nowych i zakazanych, wzbudzałem niejaki interes, szczególnie między patryjotami. Wszyscy dla mnie byli grzeczni, lecz wiedziałem już wtenczas, że grzeczność jest to moneta zdawkowa, z której nic wyciągnąć nie można.

Widywałem posłów i deputowanych, z których nie jeden cisnął się do przedpokojów ministrów, aby przy pu-

blicznej sprawie to swój proces ze skarbem korzystnie ukończyć, to posadę wyższą dla swego krewnego pozyskać, to wstęgę lub tytuł wyjednać. Taka jest wada w każdej reprezentacji, bo ułomność ludzka wszystko popsuła i przewróciła. Gdzie moralność i dobre obyczaje nie są w dziewiczej czystości, tam żadne instytucje nie wystarczą.

Nadmienić też tu muszę o mojej w tym sejmie czynności. Czterech nas, to jest Baron Soldenhof, Książę Giedroń, Leopold Domański i ja, byliśmy przeznaczeni z Rady Stanu do śpiesznego spisywania mów poselskich deputowanych, oraz ministrów i członków Rady Stanu. Oprócz nas czterech było także biuro rosyjskie pod dyktando Barona Hincza, którzy po rosyjsku spisywali, co się w Izbie działo. Tak ich, jak naszym obowiązkiem było codzień wieczorem podawać Cesarzowi, co w Izbach zaszło. Znając naszych posłów i język, mogliśmy działać z większą dokładnością.

Ci więc panowie przymuszeni byli znosić się z nami, czego nie zachowując z początku, na wiele przykrości się narazili.

Jednego dnia napisali, że pan Wielogłowski, poseł z Krakowskiego, miał zapaloną mowę przeciw ministrom; gdy Cesarz wymawiał mu to na śniadaniu, tenże oświadczył, że jeszcze się i słowem w Izbie nie odezwał, w samej rzeczy mowę tę miał Karnkowski, poseł kaliski. Po skończonym sejmie ogłoszono wkrótce prawo o Towarzystwie Kredytowym Ziemiem; wskutek tego prawa nakazano Sejmiki po Województwach dla wyboru urzędników do władz Towarzystwa Kredytowego. Nowa to była rzecz w Kongresowem Królestwie—urzęda płatne od władz Towarzystwa i zależące od wolnego wyboru współobywateli. Wczytanemu w dawne Rzeczypospolitej dzieje, gdzie, zaczawszy od Króla, wszystkie urzędy były obieralne, przyszedła myśl podania się na Radcę do Dyrekcji Głównej.

Udałem się więc do Radomia, gdzie był Marszałkiem pierwszej mi już znajomy Gustaw hrabia Małachowski. Oświadczyłem mu myśl moją, oraz kilku znaczniejszym obywatelom. Ci panowie, którym moje literackie prace znane były, oświadczyli mi, że, lubo jest wielu na ten urząd kandydatów, mających wziętość i dobrą opinię, jednakże wątpić nie należy, aby obywatele Województwa Sandomierskiego nie dali pierwszeństwa spółrodakowi, który tak głośno pochwały w stolicy pozyskał.

Nie kazali mi nawet nikomu więcej mówić, lecz sami wzięli na siebie zamiar mój do skutku doprowadzić. Gorliwości ich dla mnie zawdzięczam, że, gdy przyszło do wotowania, prawie jednomyślnie zostałem wybrany na Radcę do Dyrekcji Głównej.

Nigdy się nie spodziewałem takiej większości; podziękowałem w kilku słowach spółobywatelom, a po obiedzie i trzechedniowej hulance, którą znany z hojności i uprzejmości Marszałek zachęcał, udałem się do Warszawy, gdzie już z innych Województw obrani do Dyrekcji Głównej Radcy pojeżdżali.

Przyznać należy, że z całego kraju wybrani zostali mężowie, których zdolności i zasługi znane były. Dzieisiejszy Prezes Banku, Józef Lubowidzki, Tomasz hr. Łubieński, były generał Henryk hr. Łubieński, graf Dziekoński, Józef hr. Scypio, Jan Augustowski, były poseł na kilku sejmach, Wincenty i Bonawentura Niemojowscy, znani publicyści i patryjoci gorliwi, którzy jednak z woli Wielkiego Księcia usunięci zostali, Michał Gostkowski, człowiek prosty i poczciwy, Szamota Walerjan, człowiek młody i zdatny, Kazimierz Puchała, poeta, Jacenty Kosakowski, który w roku 1830 był dowódcą powstania Sandomierskiego, Nakwaski i wielu innych. Król mianował Prezesem Dyrekcji Głównej Radcę Stanu Kalinowskiego, urzędnika nader sprężystego i pracowitego; w gronie tak zacnych



ludzi przyjemnie było urzędować, ważne też miała czynności Dyrekcja Główna.

Jako naczelną magistratura wykonawcza w Towarzystwie, musiała rozwinąć Prawo Sejmowe, przepisać instrukcje dla Dyrekcji Szczegółowych, wygotować listy zastawne, słowem wprowadzić w bieg to użyteczne dla kraju prawo, które tylu rodzinom dziedziny obdłużone uratowało, które tyle procesów z przed kratak sądowych oddaliło, które zmusiło szlachtę do porządku i oszczędności— słowem, które stanowi epokę w historii finansowej Polski.

Czas okazał wartość ówczesnej magistratury, która wszystko przewidzieć i wszystkiego uniknąć potrafiła, coby kredyt osłabić, lub duch prawa wzmocnić mogło; prawda, że wszystkie Dyrekcje Szczegółowe z równą gorliwością w Województwach pracowały, bo obywatele wzięli się niejako za ręce, aby pokazać rządowi, „że i urzęda sądowe (gdyby sądownictwo obieralne zaprowadzono) byłoby przez obywateli równie godnie i z pożytkiem dla kraju sprawowane“.

W tym czasie poznałem pannę, córkę Radcy Stanu Kalinowskiego. Panienska nie miała jak rok 15-ty, lecz, że była już w Wiedniu i Paryżu, gdzie nawet część edukacji odbyła, wszystkie uczucia były w niej, jeśli nie przekwitłe, to przynajmniej dojrzałe i rozwinięte.

Wkrótce w zupełnem zostawaliśmy porozumieniu, ojciec też panienski kochał ją, jak własną córkę, gdyż nadmienić wypada, że panna Augusta była córką jakiegoś pułkownika francuskiego, poległego w Moskwie. Po kampanji tej, gdy pan Kalinowski z ówczesnymi ministrami Księstwa Warszawskiego był w Dreźnie, poznał wdowę po tym pułkowniku z córeczką małą, która w tym samym domu mieszkała. Była młodą i piękną, dobre wychowanie obok nędzy i niedostatku na niej się malowało. Delikatność nie pozwala wymienić stosunków z pułkowni-



kową, o jakie niektórzy Kalinowskiego posądzali; to tylko pewne, że to dziecko, Augustę, wziął za swoje, a wróciwszy do kraju, wraz z żoną, stosownie do prawa francuskiego, adoptował i cały majątek, złożony z kilkukroć sto tysięcy, teźże przeznaczył.

Widocznie życzył mnie sobie za zięcia, zapraszał mnie na wieś do dóbr swoich Opaczy, w bliskości Warszawy, które niedawno od kasztelana Nakwaskiego szczęśliwie nabył. Panna zdawała się do mnie duszą i ciałem przywiązaną, lecz od początku zaraz poznałem, że matka inne względem niej miała zamiary. Ulegała woli męża, gdyż to był człowiek, któremu nie można się było wprost sprzeciwić, chcąc zaś wydać Augustę za jakiegoś swego kuzyna, chciała, by majątek pozostał w jej familji, która była szlachecką, lecz ubogą. Wkrótce przejrzałem tę tajemnicę i chciałem stanowczej decyzji. Wyznać też należy, że stan tak niepewny nudził i moje serce i kieszeń, musiałem bowiem utrzymywać w Warszawie kocz i konie, dawać prezenta, kupować łoże, które pani Kalinowska, jako osoba niższego rzędu, miała bezczelność przyjmować.

Jednego dnia, upatrzwszy stosowną porę, oświadczyłem rodzicom panny chęci moje i prosiłem o ich decyzję. Kalinowski: „Nie mamy nic przeciw koledze (gdyż tak mnie zawsze nazywał) i nieraz daliśmy ci to poznać, jednakże Augusta nasza jest jeszcze dzieckiem, i nie mogliśmy jej wydać, jak za lat trzy“. Odpowiedź ta nie była na moją cierpliwość. „Za trzy lata, panie radco stanu, może nie wszyscy żyć będziemy, może być rewolucja, trzęsienie ziemi, zresztą nie wypada uczuć serca na tak długą próbę wystawiać“. Słowa te bez myśli prawie wyrzekłem, jednakże, wyjąwszy trzęsienie ziemi, nim trzy lata ubiegło, wszystko się ziściło. Nazajutrz po tej rozmowie odebrałem list panny, która mnie do grobowej deski kochać przyrzekała, lecz zawsze mówiąc, że bez

woli rodziców, od której jej losy zależą, nic zrobić nie może.

Kalinowski też, który całe wyniesienie sobie był winien i który wówczas miał zamiar być ministrem skarbu, gdyż ówczesny minister Lubecki miał widoki na ministerstwo skarbu w Petersburgu, poznał z jednej okoliczności, że ze mnie nie może mieć zięcia, któryby się na wszystko łatwo nagiął.

Po stworzeniu Banku Polskiego zażądał tenże, aby depozyty Dyrekcji Głównej do Banku oddane zostały. Nadmienić tu wypada, że w prawie sejmowem powiedziano, że po utworzeniu Banku depozyty do Banku przeniesione zostaną.

W Dyrekcji Głównej znajdowało się wówczas kilkanaście milionów w depozycie. Były to fundusze małoletnich, w sporze będących, słowem pieniądze prywatne, które po usunięciu przeszkód Dyrekcja Główna stronom wydawała. Bank zapragnął tych pieniędzy, aby swoje początkowe operacje podeprzeć tak znacznym kapitałem.

Prezes Kalinowski i kilku Radców z Dyrekcji Głównej popierało w tem wolę Rządu.

Gdy jednak wszystkie czynności w Dyrekcji większością decydowano, i gdy prezes jak radca miał tylko jedną kreskę, projekt wydania depozytu do Banku Dyrekcja Główna większością odrzuciła. Wówczas rozpoczął się spór otwarty między Bankiem a Dyrekcją Główną. Książę Lubecki napisał do Dyrekcji, że, jako ojciec familji, chce między Bankiem a Dyrekcją ten spór załatwić.

Wezwał więc, aby Dyrekcja wyznaczyła deputację z swej strony, a on zawezwie urzędników Banku dla porozumienia się. Wybrano deputację do ministra, do której i ja należałem, może dlatego, że się gorliwie w Dyrekcji opierałem wydaniu pieniędzy.

Kalinowski zaprosił mnie na wieczór, otwarcie ze mną mówił, aby się na sesji u ministra nie sprzeciwić, że książę Lubecki całym Rządem trzęsie, że to jest jedyna okazja, aby się dać poznać, że on bierze na siebie zrobić mię referendarzem Rady Stanu, dodał wreszcie: „Dałem kreskę za kolegą, abys się utrzymał w deputacji, bo to na jego los wpływ mieć może“.

Czułem ja cały zaszczyt pozyskania ufności współobywateli, niezeepsute miałem serce, nie wzdychałem nigdy do urzędów, poświęceniem dobrej sławy nabytych.

Przewidziałem nawet, że kwestja ta i z Augustą mają jest w związku, lecz postanowiłem niejako mój charakter Rady Stanu zaprezentować.

Nie odpowiedziałem stanowczo, lecz na sesji u ministra stanąłem w jawnej ze zdaniem prezesa opozycji. Oświadczyłem, że prawo nakazało przeniesienie depozytów do Banku, i Dyrekcja chętnie tego dopełni: pieniądze obliczone, pieczęciami tak Dyrekcji jak Banku opatrzone, mogą być przeniesione, bo Dyrekcji bynajmniej nie zależy, czy te fundusze w Banku lub w Dyrekcji spoczywają, lecz, aby Bank do operacji swej użył kapitałów, cudzą własnością będących, na to, wierny zaufaniu współobywateli i wykonanej przysiędze, pozwolić nie mogę.

Posiedzenie to u ministra ze wszech miar było ważnem, a przynajmniej my mieliśmy zrzeczność poznać talenta męża, jakiego dotąd może Polska nie miała.

Znajdował się z nami w deputacji Henryk Nakwas-ki, człowiek młody, zapalony i wielce przeciw ministrowi uprzedzony, później w emigracji będący. Pierwszy zabrał głos i mnóstwo niegrzeczności księciu powiedział: że Bank jest magistraturą niekonstytucyjną, że on, jako poseł, skarżyć będzie w sejmie ministra, który kontrasygnował dekret, przeciwny konstytucji, że we Francji i Anglii daleko większe banki upadają, na wypadek więc upadku zapy-

tuje księcia: ktoby te pieniądze zapłacił? Urzędnik, który pisał protokół, nie śmiał bardzo zapisywać, co książe spostrzegłszy, z najzimniejszą krwią powiedział: „Pan radca Nakwaski ma prawo mówić, co myśli, i wszystko należy w protokole zamieścić“.

Minister ten posiadał dwie rzeczy, dla konstytucyjnego ministra bardzo potrzebne. Miał wielką pamięć, którą wszystkie odcienia każdej kwestji obejmował, zimną krew i język, jak na sprężynach, tak że, gdy zaczął mówić, zdawało się, iż słowa jego płyną bez żadnych namiętności.

W samej rzeczy, gdyśmy dyskusję skończyli, książe odpowiedział tak wymownie najprzód na zarzuty radcy Nakwaskiego, że tenże sam żądał, aby mowa jego była wymazaną z protokołu. Kolejną i z równą wymową odpowiedział książe na zarzuty innych radców, jednakże większością postanowiono, aby depozyta w Dyrekcji Głównej pozostały.

Co do mnie, nie zapomnę, że kiedym mówił, Kalinowski wciąż na mnie patrzył, i wówczas w oczach jego całą przyszłość co do mojej Augusty wyczytałem; w samej rzeczy sesja ta poprzedziła tylko na parę tygodni moje oświadczenie, które powyżej opisałem.

## V.

Działo się to w roku 1828; mnie też dobiegało lat 30, i postanowiłem sobie lub się ożenić przed skończeniem trzydziestu, lub do śmierci w stanie bezzennym pozostać. Coby lepszego z tego dwojga było, do dziś dnia powiedzieć nie umiem.

To pewna, że człowiek piszący, a szczególnie autor dramatyczny, jest już niejako człowiekiem publicznym.

Należy do publiczności, w niej tylko i z nią żyje, jej zdania, jej opinie wyobraza i sumienia narodowego jest głośnym organem. Jeżeli jest wyższem obdarzony pojęciem, zdania i opinie współczesnych wyprzedza, a niekiedy takowe im narzuca.

Taki człowiek nie żyje dla siebie i nie powinien żadnym węzłem ścieśniać szerokiej myśli.

Zresztą szukanie prawdy i głośne jej wyznawanie ściąga zwykle zawiść i prześladowanie, których człowiek uczciwy osobie z nim połączonej narzucać nie powinien; przytem życie domowe, familijne, ta najlepsza żona, najlepsze dzieci krępują niejako rozbijałał imaginację, a domowe troski i codzienne starania wyczerpują czas i siły.

Nie mówię ja tu, aby stan małżeński nie miał powabów i słodyczy; jeżeli gdzie, to w narodzie upadłym jest prawie konieczny. Gdzie niema życia publicznego, gdzie nieufność i szpiegostwo odsuwa od siebie najlepszych obywateli, na łonie tylko własnej rodziny można znaleźć nietylko swobodę i szczęście, ale nadto w cichem ustroniu życia domowego można przechować cnoty i uczucia narodowe, można wpoić w synów i córki tę czystą miłość Ojczyzny, która w czasach prześladowania ogranicza się na cichej nienawiści prześladowców i na religijnem poszanowaniu wszystkiego, co nam dobrego i wzniosłego z puścizny przodków zostało.

Co do mnie, dzięki Bogu, nie miałem tej zarozumiałości, abym taką wagę do pism moich przywiązywał, któraby mnie z ciasnoty pospolitych ludzi wynosiła. Że zaś ojciec mój jednego tylko miał rodzonego brata, który wrócił z Ameryki, gdzie długi czas z Kościuszką zostawał, w Mniechowie bezdzietny życia dokonał, i że ja byłem jedynakiem, na którym tej linii Humnickich ród miał wygasnąć, te więc powody do ożenienia nieco mnie skłaniały, ile że rodzice tego sobie mocno życzyli.

We wsi Probołowicach pod Skalbmierzem mieszkała krewna mojej matki, pani cześnikowa Łuniewska. Miała dwie córki: pierwsza rozwiedziona Benoe, druga jeszcze panienka. Przyszła mi myśl odwiedzić ten dom, z którym mię stosunki familijne łączyły.

Wyjechałem z Warszawy powozem, lecz, przyjechawszy do Pińczowa, wpadłem na tak wielkie śniegi, że w żadną stronę ruszyć nie mogłem. Burze zasypały wszystkie wąwozy, nie było żadnego śladu, zadymka dęła w oczy, i świata nie widać było.

W domu Żyda Chroberskiego, który był niegdyś arendarzem w dobrach pana Cześnika, przepędziłem dzień cały. Drugiego dnia pod wieczór, gdy już prawie byłem zdecydowany wrócić napowrót, nadjechał do tej samej oberży hrabia Kazimierz Łubieński, człowiek młody, energiczny, synowiec Tomasza i Henryka, z którymi w Warszawie kolegowałem. Nie znaleźmy się prawie, lecz po krótkiej rozmowie opowiedziałem mu przeszkody, jakie mnie na drodze moich widoków spotkały, a nadewszystko, że postanowiłem wrócić do Warszawy. Zacny ten i szlachetny młodzieniec rzekł do mnie: „Jestem krakowiak prawdziwy, znam na pamięć wszystkie góry i wąwozy, jadę saniami, konie mam dobre i sam powozić umiem. Jechałem wcale gdzieindziej, lecz, chcąc ci zrobić przysługę, pojedę do Probołowic i dziś jeszcze tam cię zawiozę“.

W samej rzeczy wsiedliśmy w sanie i, przewróciwszy ze dwadzieścia razy, topiąc się nieraz po wąwozach, śniegiem zrównanych, koło godziny pierwszej po północy przyjechalśmy do Probołowic.

Chciałem się jak najciszej sprawiać, ale hrabia wszystkich pobudził. Wstała i moja panna, poczęstowano nas naprędce sporządzoną kolacją, nagadaliśmy się, uśmieśli, a nazajutrz oświadczyłem moją myśl pani Cześnikowej,

która propozycję tę dobrze przyjęła — i termin do ślubu wyznaczono...

Ożeniwszy się...

## VI.

### REWOLUCJA.

Już znacznie osób przybyło, już w salonie zaczynały się tańce, już zasiedliśmy do wiska, kiedy nagle wpada młody człowiek, Paweł Popiel, i wywołuje głośno dwóch młodszych braci, którzy w salonie tańczyli. Gospodarz wstał od stolika, pytając, co to znaczy, gdy tenże jednym słowem odpowiedział: „Rewolucja“...

Nadmienić tu wypada, że na kwadrans przed tem zdarzeniem przyjechała generałowa Trębicka; pomieszana weszła do salonu, usiadła przy mojej żonie i powiedziała: „Czy pani nie wiesz, że tej nocy mają być wielkie wypadki... wstępowałam do pani Stasiowej Potockiej i dziwne rzeczy mi powiedziała... nie wiem, czy pani jesteś dyskretna“... Wtem kazała sobie podać szklanę wody: ręka jej tak drżała, że ledwo nie upuściła—przeczuwała może nieboga śmierć męża, która w ten wieczór nastąpiła.

Jeszcześmy nie ochłonęli z pierwszego wrażenia, kiedy wystrzały słyszeć się dały. Działo się to na ulicy Królewskiej, przez którą armaty z zapalonymi lontami prowadzono, a co z okien spostrzegłszy damy, wielce się przerażyły.

Wnet całe męskie towarzystwo już było na ulicy. Generał Bontemps, który ze mną partję rozpoczął, nie mogąc znaleźć stosowanego kapelusza, w okrągłym wyszedł na ulicę. I ja z drugimi pobiegłem na Krakowskie

Przedmieście i pierwsze ofiary dnia tego, generała Haukego i pułkownika Męciszewskiego, ujrzałem przed pałacem Namiestnika we krwi broczących.

Nie mogę opisać wrażenia, jakie ten widok na mnie uczynił, lecz sumiennie powiedzieć mogę, że cała przyszłość, wszystkie nieszczęścia, jakie tę ziemię spotkały jakby czarnym szeregiem przez myśl mi się przesunęły.

Z Krakowskiego Przedmieścia, gdzie kilku znajomych spotkałem, udaliśmy się na ulicę Miodową, stamtąd ku teatrowi, który był jeszcze przy ulicy Długiej.

Co moment słyszeliśmy strzały i spotykali ludzi z nowymi wiadomościami.

Wypadki szybko tej nocy postępowały: już rozbito arsenał i 100,000 broni po mieście rozdano; już więzienie Karmelitów zdobyto i więźniów stanu, po większej części uczniów Uniwersytetu, uwolniono. Już zabito generałów Blumera, Trębickiego, Stasia Potockiego i najniewinniej generała Nowickiego, który jechał kareta. Młodzież krzyknęła: „kto jedzie?“, ktoś powtórzył „generał Lewicki“, choć stangret odrzekł, „generał Nowicki“, wnet kilka kul przeszło pierś poczciwego i dobrego Polaka. Zginął jedynie przez pomyłkę i podobieństwo nazwiska do generała ruskiego, ogólnie znienawidzonego w Warszawie. Tak więc, przebiegłszy wszystkie miejsca ważniejszych wypadków, ledwie nad ranem wróciłem na ulicę Królewską, gdzie żona została.

Tu nowe uderzyło mię widowisko: furman mój na pierwszy wystrzał odszedł powozu i koni, a dostawszy pistolet i podchmieliwszy sobie w szynku, gdyż wiadomo że pospółstwo wówczas, mszcząc się na znienawidzonym w Warszawie monopoliście (?), wybijało szynki i piło bezpłatnie—on więc, podpiwszy, mierzył z pistoletu, nie wiedząc, że nabity, do swego przyjaciela, służącego pana sędziego Gostkowskiego, mówiąc: „tak, bracie, pospolitość



się zabawia". Wtem spuścił kurek, i kula przeszła piersi przyjaciela, z którym się tak często upijał.

Cobądź trzeba było wrócić do domu. Ja mieszkałem na Krakowskim Przedmieściu na pierwszym piętrze obok Św. Krzyża w domu misjonarskim.

Zdawało mi się, że Cesarzewicz, który miał przy sobie wojsko i 40 armat w Górze, pomści się nazajutrz zniewagi mu wyrządzonej i pijanemu pospólstwu krwawą, wyda bitwę na Krakowskim Przedmieściu.

Łatwo jednak było przewidzieć pomyślny skutek siły zorganizowanej przeciw największemu nieporządkowi, jaki się po ulicach zwiastował. Tym sposobem nie sądziłem rzeczą bezpieczną powrócić na własne mieszkanie. Odprowadziłem żonę na Ś-to Krzyską, gdzie mieszkała jej siostra, pani Benoe. Nazajutrz koło godziny 10, bośmy się wcale nie kładli, udałem się z dwoma przyjaciółmi, którzy u mnie często bywali, Januszem Woroniczem i Steckim, na dawne mieszkanie, chcąc swoje dzieci wydobyć, t. j. dwuletnią córkę Andzię i syna Zygmunta, zaledwie trzy miesiące mającego. Idąc z ulicy Ś-to Krzyskiej na Krakowskie Przedmieście, ujrzałem masę pospólstwa, które wciąż strzelało — z jednej strony, z drugiej — pułk Szasserów, na czele którego spostrzegłem znajomego pułkownika Zielonkę. Pytam go: „Pułkowniku, można przejść?” „Jak chcesz, wszak widzisz to, co i ja”. Wtem kula koło samego kapelusza mu świsnęła.

Widziałem tego człowieka, jak poskoczył na koniu przed front całego pospólstwa, wołając: „Nie strzelaj, łajdaku, bo ci w łeb palnę“! Wtem kilka kul koło niego miгнаło. Kiwnął na pułk, zakomenderował — i nie oparł się z pułkiem, aż za rogatekami u Cesarzewicza.

Pułk ten waleczny we krwi swojej obmył nieraz później zniewagę dnia tego.

W sercu mojem uczucie ojca silniej się odezwało. Szlachetny Stecki rzekł do mnie: „Ruszajmy odnieść dzieci do Matki!” Tak w galop wśród ciągłych wystrzałów przebiegliśmy ulicę i już wpadli do domu. Ja Andzię, on Zygmuntka z poduszką wziął na ręce i, zamknawszy mieszkanie, wróciliśmy z dziećmi na Ś-to Krzyską ulicę. Drugiej nocy pełno do nas przyszło znajomych i wcaleśmy się nie kładli.

Kasztelan Bienkowski, którego rewolucja zastała u generałowej rosyjskiej, pani Strandman, i gdzie się różne sceny odbyły, przelekniony dowiedział się na ulicy, że jego dom rabują z powodu, że tam stał generał Roźniecki— przyszedł więc do nas i parę dni przesiedział.

Ciągle strzały na ulicy, wiadomości, które jedne drugie goniły, ciekawość patryjotycznej Warszawy do najwyższego stopnia posuwały. Co to za widok po ulicach: karkardy karmazynowe z białem, niekiedy trzechkolorowe przykryły wszystkie czapki, ukazało się pełno konfederatek, każdy z bronią w ręku przebiegał ulice.

Zdaje się, że cała ludność stolicy w dniu jednym się poznała. Wszyscy się witali i ściskali, jedno ogniwo wszystkie serca spoiło. Radość narodu do najwyższego stopnia dojrzała, wybijała.

Trzeciego dnia utrudzenie i potrzeba snu uczuć się dały—postanowiliśmy zamknąć kamienicę i spocząć; lecz ledwieśmy się pokładli, ledwie ostatnie światło zagasło, wnet hałas nadzwyczajny, szturm do bramy i kilka strzałów do okna cały dom zbudziły. Porywam się i widzę przed domem naszym tłum pospólstwa, wołającego „Otwórz! otwórz, szpiegu, bo wybijemy!”. W tym domu mieszkało kilku lokatorów, z których jeden tylko był mi znajomy, pan Woyszycki, były szef z Komisji Rządowej Wojny. Wstałem, ubrałem się naprędce, porwałem za karabin, dysponując stróżowi, aby bramę otworzył.

Większość mieszkańców nie zgadzała się na otwarcie bramy, między tymi był pan Woyszycki, mówiąc: „pijaki nakrzcyczą i pójdą dalej“. Gdy się tak spieramy i naradzamy, brama podważona wypadła, pośpółstwo rzuciło się rabować dalsze mieszkania, i wtenczas dopiero dowiedziałem się, że tam mieszkał jakiś urzędnik z biura generała Kuruty.

Nie sądziłem rzeczą właściwą mięszać się w ten interes, lecz gdy już porabowano meble i zabrano, co było, jakiś Moskał w szlafroku, który dotąd w grubie od pieca siedział, wpada do nas na pierwsze piętro, całując po rękach i nogach: „Ratuj, bo zabijają“. Żal mi się zrobiło tego człowieka, którego wtenczas pierwszy raz widziałem. Nie mogłem jednak przyjąć go do pokoju, gdzie służąca, zapewne dobrze z nim znajoma, koniecznie wpuścić go chciała.

Kazałem wniść mu na strych—wlaźł nieborak, lecz znowu kluczyk zarzucono, tak więc na schodach pod strychem przyczaił się. Ja zaś schodzę i długą mową zabawiam uzbrojone publicum. Dowodzę, żeśmy Polacy i nie na to broń wzięli do ręki, aby się między sobą rabować, wsunęłem też kilka myśli, które wówczas wszystkich zajmowały. Jakiś pijany dorożkarz z bagnetem w ręku kilka razy do mnie przyskoczył, drugi brał mnie za piersi, mówiąc: „to minister, wziąć go z nami“.

Szczyściem, że w tym tłumie drwali i dorożkarzy znajdował się student golibroda, który mię czasem golił.

„Co czynicie, obywatele, to Ignacy Humnicki, najlepszy patryjota!“—„Dobrze mówi, słuchajmy go, idźmy dalej. Wiem, gdzie mieszka generał Rychter, i tam was poprowadzę“.—Tak więc powoli ta nawałnica odstępowała, w pół godziny nie było już nikogo. Nazajutrz widziałem fortepian i stolik mahoniowe w kawałkach, a futro sobolowe na stróżu.

Owego Moskala, drżącego jak listek, odprowadziłem do ogródka, który był w tej kamienicy, a nazajutrz przez litość dałem mu płaszcz stary, bo ze strachu i zimna ma-ło był żywy, i odprowadziłem na zamek, gdzie już pełno było jeńców rosyjskich, którzy w mieście pozostali. Wra-cając z zamku, spotkałem generała Bontemps z wielką kokardą, a gdym się go pytał, co porabiał od chwili ostatniego wieczoru: „Byłem w kozie—odpowiedział—po-szedłem na odwach i sam się aresztowałem; stary jestem osiwiiałem w rewolucjach, człowiek na wszystko oglądać się musi. Gdyby Cesarzewicz był wrócił, usprawiedliwił-bym się, że, aresztowany, nie mogłem za nim pośpieszyć. Gdy nie wraca i rewolucja górę bierze, zostaję z wami, ile że to było mego serca życzeniem“.

Po drodze też dowiedziałem się, że Cesarzewicz po-zwolił wojsku polskiemu, a mianowicie pułkowi Szasse-rów, który przy nim pozostał, złączyć się z braćmi i wró-cić do Warszawy. Jaki to był widok wracających braci. Obecni owej chwili nigdy nie zapomną!

• Co do mnie, żyłem życiem przyspieszonym i pewny jestem, że przez te 9 miesięcy przynajmniej 10 lat z życia ubyło. Zresztą w parę dni potem zaprosiłem na wieczór • tych młodych ludzi, których imiona były w ustach wszyst-kich, a z którymi dobrze się znałem. Dwuch braci Moch-nackich, dwuch Rupniewskich, Nabelak, Goszczyński poe-ta, Ksawery Bronikowski, Grzymała i t. d. Poznałem wten-czas, że żaden z tych ludzi naprzód nie myślał, zaś Mau-rycy Mochnacki, który jeden był gieñjalnym człowiekiem, zanadto wówczas ognisty, zanadto był poetyczny, aby rzecz z rozważą mógł poprowadzić; lecz najwięcej się zasmuciłem, gdy, o przyszłości z nimi mówiąc, powiedzieli mi: że jeżeli przez rewolucję nic więcej nie zrobimy, to przynajmniej przypomnimy się Europie — a zdanie to i Lelewel podzielił.

Rozedrzeć kraj, zniszczyć najpiękniejsze nadzieje, przelać najczystsą krew braci, a to wszystko dlatego, aby się przypomnieć Europie, nie trafiało do mego przekonania. Odtąd byłem smutny, bo w porządku rozumu, bo w naturalnym postępie rzeczy nie widziałem żadnego zbawienia.

Przewidziałem wojnę i wojnę, która się nie uda—to mię dręczyło i nie taję, że myśl ta, którą zapewne ze mną wielu dzieliło, osłabiała nawet sprawę ojczystą.

Jako radca Dyrekcji Głównej Towarz. Kredytowego, jako członek magistratury bynajmniej nie rewolucyjnej, poszedłem do biura i, mocniej jak kiedyindziej tą pracą zajęty, całą burzliwość ognistej duszy w podpisie kuponów i listów zastawnych topiłem.

Niedługo jednak młodzież nasza, obchodząc miesięczną oktavę dnia 29 Listopada, zaprosiła mię abym w zgromadzeniu tem czytał swoje poezje.

W wielkiej sali uniwersytetu zgromadziło się kilka tysięcy osób. Na wystawie za stołem siedzieli ludzie, od publiczności bardzo lubieni: Lech Krystjan Szyrma, Kazimierz Brodziński, Franciszek Wężyk, Bruno Kiciński, Ksawery Bronikowski, Lelewel, Hube, tudzież wielu z profesorów uniwersytetu. Tam i mnie wezwano. Niebardzo przygotowany, odczytałem wierszyk, zachęcający do zgody i jedności.

Oklaski, jakie każdej strofie towarzyszyły, i przymożne wówczas okoliczności mimowolnie prawie zrobiły mię członkiem tego zgromadzenia, i już odtąd co miesiąc czytałem swoje poezje na posiedzeniach, które coraz świetniejsze bywały.

Nie miałem nigdy na celu żadnego stronnictwa, żadnej osoby, które się w opinii koleją wznosiły i upadały, lecz zawsze sprawą narodu.

Był czas, że nie byłoby mi trudno pozyskać wyższe urzędy; prezydującego w Rządzie Narodowym Księcia i Naczelnego Wodza znałem osobiście, lecz zawsze tłumaczyłem się, że, przyjąwszy urząd, nie mógłbym takiego wpływu na umysły młodzieży wywierać, tembardziej, że w kraju naszym, jak zawsze tak i teraz, pełno było ludzi, którzy tylko o własnem wyniesieniu myśleli.

Ale rzućmy zasłonę na kartę dziejów, której też dziś zupełnie rozwinąć nie można. Krwawa bitwa Grochowska paniczny postrach na Warszawę rzuciła, zebrane laury pod Dębem i Wawrem chwilowo tylko nadzieję narodu żywiły, przyszła nieszczęśliwa ostrołęcka potyczka, która grób narodu otwarła; po tej bitwie koniec tego dramatu łatwo było można odgadnąć.

Ja wówczas moją żonę z dziećmi wywiozłem do Krakowa.

Sam zaś udałem się w Sandomierskie do wsi mojej, Czajęczyce, ile że gospodarstwo tam, powierzone człowiekowi zbyt niedołężnemu, do tego stopnia podupadło, że wszelkie podatki i ciężary z kieszeni musiałem opłacać, a można powiedzieć, że ostatkiem goniłem. Zabawiwszy kilka tygodni w Czajęczychach, udałem się do Krakowa. Tam już nie było z Warszawą komunikacji, i tylko z gazet niemieckich dowiedzieliśmy się o dniu 15 sierpnia. Dotknęło mnie do żywego upodlenie narodu, ile że między poległymi ofiarami był Ludwik Bentkowski, młody człowiek z Ukrainy, z którym parę lat w domu pani Brzezińskiej mieszkałem, którego znałem, jako dobrego Polaka. Podziękowałem Bogu, że tak brzydkiego ustępu z tej tragedji nie widział. A niedługo potem wyczytaliśmy o szturmie Warszawy i o wnijsciu wojsk cesarskich do tej stolicy. Wkrótce też przyjechali z Warszawy z paszportami rosyjskimi niektórzy posłowie i senatorowie.

Szwagier mój, Wiktor Łuniewski, który też był posłem z Krakowskiego, powrócił także. Postanowiłem więc meldować się generałowi Rydygierowi i z familją moją na wieś powrócić. Emigrować bez funduszu z żoną i małemi dziećmi nie widziałem potrzeby. Zresztą śmiało to powiedzieć można, że niekoniecznie najlepsza część narodu wyszła z emigracją. Zostało i w kraju wielu szlacheckich ludzi, którzy, przykuci do tej nieszczęśliwej ziemi, więcej może cierpią, bo się w swoich cierpieniach uśmiechać muszą.

Zyskawszy paszport, pojechałem do Czajęczyc—i od-tąd zaczyna się epoka innego życia, życia z własną rodziną i poddanymi, życia pracowitego i domowego, które, lubo ciche i nieświetne, nie mniej jednak użytecznem być może.

## VII.

### CZAJĘCZYCE. ROK 1832 — 33.

Przyjechawszy do Czajęczyc i zastawszy małe moje gospodarstwo zupełnie zrujnowane, nie wiedziałem, od czego zacząć. Włościanie po większej części ze wsi wyszli, konie z podwodami wzięte nie powróciły.

Huzary czerwone resztę słomy i siana ze stodół wynoszą, egzekucje za nakazane liwerunki dla wojsk cesarskich od dwóch tygodni stoją, a i sekwestrator ma zjechać. Ekonom staruszek, niejaki Wosiński, zbity przez żołnierzy, leży prawie bez życia. Oprócz tego dom mieszkalny nowy rozpoczęty i nie skończony, stary zdezelowany. Nadto Towarzystwo i procenty od długów nieopłacone.

Spojrzawszy w to wszystko, westchnąłem, lecz się nie zasmuciłem, bo smutek z położenia kraju, który rozdzierał serca wszystkich, nie dozwalał przystępu żadnej innej boleści.

Postanowiłem zamknąć się, oszczędzać, pracować. We dwa lata śladu wojny i niedostatku nie było. Już mieszkaliśmy w nowym domu, gdzie nietylko wygodne, ale i przyjemne były pokoje; już inwentarza przybyło, gospodarstwo trochę się poprawiło; jednakże, rachując skrupulatnie, widziałem, że ta wieś nie jest dogodna, i że trudno z niej spłacić długi, które kilkadziesiąt tysięcy wynosiły. Przytem, mając krewnych z Ojca mego w Galicji Austryjackiej, w cyrkule Przemyskim, przyszło mi na myśl, aby sprzedać Czajęczyce i tam się wynieść. Ojciec mój przeciwny był temu projektowi już dlatego, aby mnie miał bliżej, już dlatego, że mu się zdawało, że Czajęczyce jest bardzo dobra kondycja; to pewna, że i mnie żal było tej wioski, a najbardziej żałowałem oddalenia się od rodziców, którzy wtenczas blisko, bo w Nosowie mieszkali przy córce swej, pani Trepkowej. Szwagier mój, pan Jan Treпка, był człowiek zacny i nader łagodny; prawie co Niedziela tam bywałem.

Wszelako, gdy się znalazł kupiec, pan Radziszewski, który mi ofiarował 113 tysięcy złp. za Czajęczyce, sprzedałem, najbardziej aby się uiścić siostrom moim, dla których Rodzice pewną sumę zostawili.

Siostry moje także były potrzebne, a bez sprzedania działów nie było.

W krótkim czasie po sprzedaży Czajęczyc trafiał mi się korzystny majątek od księżnej Sapieżyny, mający 1000 morgów lasu, wielką ludność i rozległość, stawy, młyny, łąki i Kościół parafjalny; zdawały się przeto do rozwinięcia gospodarstwa bardzo sposobne.



W kilka dni prawie skończyłem kupno Tuczap za 220 tysięcy złp. Zaliczyłem, co miałem, a we 4 tygodnie zobowiązałem się resztę szacunku wyliczyć, wiedziałem bowiem, że na te dobra można zaciągnąć 150 tys. złp. Towarzystwa Kredytowego. Wziąłem ekstrapocztę do Kielc, zrobiłem akt przystąpienia, a pilnując tego interesu między Kielcami i Warszawą, uzyskałem żadaną pożyczkę i w umówionym terminie cały szacunek księżnie Sapieżyńskiej wypłaciłem.

Może kogo zdziwi, jak mogłem kupować dobra, nie znając ich, a nawet nigdy nie widząc; w samej rzeczy. nie od każdego można tak kupić, lecz Pani ta znana była w całym kraju z rzetelnego i szlachetnego postępowania. Mnie też widywała u swego zięcia, księcia Adama Czartoryskiego, który na mnie był łaskaw, a któremu w roku 1831 nawet pewną przysługę oddałem.

Pewny więc byłem, że mojej szkody nie żąda, a nadto wiedziałem, że wielcy panowie, nie znając często swoich rozległych włości, nie mogą mieć z nich tej intraty, jaką dobry gospodarz, sam sobie gospodarując, osiągnąć może.

Opuszczając Czajęczyce, żal mi było tylko Rodziców i sióstr, gdyż obiedwie blisko mieszkały; przenosząc się do Tuczap, o kilka mil tylko odsuwałem się

Sąsiadów też opuszczałem znacznych i poczciwych, po części Ojca jeszcze przyjaciół. Cały dom Jasińskich, Reklewskich, a między innymi Józefa Gołuchowskiego, dziedzica Garbacza, znanego z dzieł filozoficznych, którego, jako człowieka wyższego, obszerniej opiszę.

Mężczyzna średniego wzrostu, trochę czarny, trochę oliwkowaty, dziobaty i szczupły, z czarną czapeczką na głowie i najczęściej z łokciem w rękę, w oczach miał coś bardzo przenikliwego. Zdaje się być pospolitym człowiekiem, gdy nic nie mówi, co jednak rzadko się zdarza,

gdyż lubi i umie mówić długo i konsekwentnie, nawet o rzeczach nic nie znaczących.

W rewolucję, przebrany w sukmankę sandomierską, znany był w Warszawie, jako chłop-filozof. Prelekcjami swemi zajął był z początku publiczność tak, że go w tryumfie przez Krakowskie Przedmieście do zamku nieśli.

W końcu, skłaniając się zbyt do partji arystokratycznej, wiele na opinię utracił. Długo z nim żyjąc, poznałem jego rozum i dżalektykę, ale nie serce.

Matematyk i filozof oziębił nieraz ognistą duszę poety, wyznając jednak, że się wiele od niego nauczyłem, a mianowicie cierpliwości i poddania czyli rezygnacji. Profesor, a w r. 1830 Radca Stanu, krewny i przyjaciel Skrzyneckiego, na którego zdanie często wpływał, we dwa tygodnie po rewolucji tak się zajął gorzelnią i pistorjuszem, jakby nic ważniejszego nie było na świecie.

Zdarzyło się, że po rewolucji przyjechał do mnie do Czajęcyc szanowny mój przyjaciel Kazimierz Brodziński, człowiek czucia i serca.

Któż nie znał tego znakomitego literata?—lecz nie jego pisma, ducha jego znać trzeba było! Ten się nie pocieszył, wciąż cierpiał, i zdawało się, że nieszczęścia kraju upersonifikowały się w jego osobie.

Jednego dnia przysłała nam myśl odwiedzenia naszego filozofa. Przyjechawszy do Garbacza, zastaliśmy go w gorzelni, gdzie nam z takim zapałem o różnych rurkach i rureczkach opowiadał, iż zdawało się, że na tem świat stoi. Mnie, jak mnie, trochę to jeszcze zajmowało, bo sam miałem małą gorzelnię, lecz Brodziński tak się znudził, że mu powiedział: „I nacóz, kochany kolego, wysiliłeś swój rozum, jeśli nie na to, aby drudzy byli głupi?—bo przynasz, że takimi pewnie będą, upiwszy się twą wódką“.

Niedługo też zabawiwszy, pojechaliśmy, lecz Brodziń-

ski długo powtarzał: „Co się z tymi filozofami zrobiło, co się zrobiło?”

Na tem kończę moje w Czajęczycach mieszkanie, które w ogólności było dosyć smutne, bośmy nigdy do żadnego zapasu przyjść nie mogli.

## VIII.

### TUCZĘPY 1834—39.

Zostałem dobra te przez dzierżawców bardzo zniszczone, tak że ostatni dzierżawca, pan Ogrodziński, który tylko 7000 złp. rocznie i podatki opłacał, zadłużył się księżnie Sapieżynie.

Od dwóch lat dobra te były na księżnę administrowane, administracja lepszą była, jak dzierżawcy, jednakże i ta nie mogła tak prędko dóbr podźwignąć. Ekonom, pan Szurmacki, poczciwy człowiek, musiał w najmniejszej rzeczy prowadzić korespondencję z Biurem Księżnej w Warszawie; formalności i pisania dużo, pożytku mało.

Według mego zdania, wielcy panowie, nie mogąć mieszkać w dobrach, powinni dobierać poczciwych ludzi, obszerniejszą dawać im władzę, bo w ekonomice są przedmioty, codziennego naradzenia wymagające. Zresztą, wsiadłszy na konia, objechawszy pola, lasy i folwarki, ucieszyłem się, bo wszystko lepiej znalazłem, jak sobie wystawiałem. Zaniedbanie było wielkie, lecz dobra piękne i wygodne.

Był to tak znaczny skok przyjść do Tuczap po Czajęczycach, że mi się wszystko wyborne i wielkie zdawało. Oficjaliści też poznali zaraz, z kim mają do czynienia. Ekonom, pan Szurmacki, który zwykle bryczką w pole jeździł i więcej przy stoliku registratury pilnował, poznał

zaraz, że inaczej wziąć się trzeba. W samej rzeczy służący, tylko widząc pracowitość pana, pracowitymi być mogą.

Pan Szurmacki, którego w całym ciągu mieszkania w Tuczępach trzymałem, dopomagał mi w pracy, i jemu winien jestem, że Tuczępy do tego stopnia przyszły po pięciu latach, że, oprócz opłaty podatków i służących, przynosiły czystego dochodu rocznie 20,090 złp., a przypomniawszy sobie, że dzierżawca ostatni 7,000 złp. opłacał, ledwie takiej różnicy wierzyć można.

Oprócz tego sprzedałem lasu za 40,000 złp., a w piątym roku poznałem, że mało już więcej zrobić można. Postawiłem ze 20 nowych chałup, nowy młyn i dwór w Wierzbicy, urządziłem gorzelnię na większą skalę i zaprowadziłem przeszło 2,000 owiec. Jednym słowem dużo się napracowałem. Proboszczem też miałem zacnego kapłana, a na dobrodzieja właściciel i włościanie często się zapatrują.

Poprzednik jego, ksiądz Lubelski, zrujnował ogromnie plebańję i budynki, rozpił się i w końcu gardło sobie poderzwał.

Współczesny mój ksiądz Matulski nie tylko wyreperował Kościół, na który Księżna przeznaczyła fundusz, lecz wymurował dzwonnice, zrobił i oparkanił cmentarz, budowlę plebańskie i kilka chałup wystawił, a jeżeli w czem, jako właściciel dóbr, przyczyniłem się do polepszenia bytu tej plebańji, bardzo się tem szczycę, bo tego szanownego proboszcza wysoko poważam.

W Tuczępach urodził nam się drugi syn, Adolf, a następnie trzeci, Kazio, który żył tylko kilka tygodni. Do starszych dzieci mieliśmy już guwernantkę, pannę Męcińską, a później pannę Kosowicz, nigdy bowiem nie podleciała mnie ta moda, aby cudzoziemkom pierwsze lata dziecinne powierzyć.

Sąsiedztwo Tuczęp nie było liczne i dość oddalone, jednakże wychodząc żałowaliśmy szczególnie domu państwa Walchnowskich w Nizinach, z którymi łączyły nas sąsiedzkie stosunki.

Kasztelan Walchnowski pracą i zdolnością doszedł znacznego mienia. Jako sędzia polubowny, był doradcą, opiekunem całej okolicy. Nie było rady familijnej, nie było żadnego sporu ani zgody, do którejby nie należał, na kompromisach wszystkich prezydował; wziętości też tej winien był stopień senatora, który w roku 1831 uzyskał. Zdanie jego wywierało wpływ niemały na szlachtę okoliczną. Każde imieniny pana i pani Kasztelanowej hucznie obchodzono w Nizinach i po 80 osób bywało. Tam jeszcze spełniano owe wielkie toasty i można powiedzieć, że na tym domu skończyły się wiwaty, za panowania Sasów zaczęte, a które na upadek kraju taki wpływ miały; mówię, że się skończyły, bo, później w tym domu bywając, widziałem, jak gospodarz zachwalał system Prystnityza i sam wodę popijał.

W Tuczępach też mieszkając, zapoznałem się z domem szanownym państwa Łempickich. Familja ta, wyższa ukształceniem i domowymi cnotami, nadto wysokie zajmowała miejsce w Sandomierskiem, ażeby o niej nie wspomnieć.

Pani Łempicka, urodzona z księżnej Sapięzyny i córka Stanisława Sołtyka, ex-Podstolego, odebrawszy wychowanie w Paryżu, umiała wykształcenie wielkiego świata ze skromnością życia wiejskiego pogodzić; polor europejskiego tonu do życia domowego przyniosła, a pobożność i prostotę prababek naszych z wiadomościami nowego świata połączyła.

Szczególniej w domu swoim wszystkich rozweselić, każdego ośmielić umiała; nie będąc sama wesołą, owszem, nosząc jakiś zaród smutku czy to z organicznej budowy,

czy z przebolełej duszy wynikły, ani na rodzinę, ani na gości smutku tego nigdy nie rozlała. Nie zasmuciła nigdy męża, bo odgadła przeznaczenie kobiety. Niosła słodycz i kwiaty dla ludzi, a ciernie w duszy chowała. Los też zdarzył jej męża, który, równe odebrawszy wychowanie, łagodność charakteru ze wszystkimi obywatelskimi cnotami połączył.

x Za czasów Cesarzewicza, jako poseł na Sejm, należał zawsze do tej umiarkowanej i cnotliwej strony, która umiała prawdziwe położenie kraju ocenić; z godnością przy nadanej Ustawie obstając, nie drażniła opinii, nie zapalała młodzieży i nie wywołała Rewolucji, której pomyslnego rezultatu trudno było przewidzieć.

x Gdyby większość narodu tak była postąpiła, gdyby partja Kaliska (bracia Niemojowscy) patryjotyzm swój więcej na szali rozsądku ważyła i prawdziwe położenie kraju oceniła, gdyby ci panowie byli sobie powiedzieli: „Nie mamy dziś wszystkiego, ale lepiej coś, jak nic; nie mamy zupełnej niepodległości, ale szanujmy, co mamy, kształćmy młodzież i czekajmy stosownej chwili. Nie drażnijmy Olbrzyma, do którego pajęczą nitką na Kongresie Wiedeńskim przyczepieni możemy z czasem wysnuć dla siebie trwalszą budowę. Owszem, wpajajmy ufność, a przy sposobnej chwili, przy zapaleniu się wojny europejskiej, przy rozprawie Północy z zachodnią Europą, naród nasz zajmie właściwe stanowisko, jako strażnica Europy, jako wielkiej rodziny słowiańskiej właściwy reprezentant“!

▲ Całe plemię Lechitów na jednego Wallenroda wykształcić należało. Lecz ci panowie lubili oklaski młodzieży i poddmuchnęli ogień, który się zapalił, i wraz ze swoimi ofiarnikami spalił na długie lata najbujniejsze narodu nadzieje.

\* Przekładali to Ojcowie narodu, pochyleni wiekiem starcy, więźniowie polityczni z 94 roku—Stanisław Sołtyk,

Kasztelan Kochanowski, Juljan Niemcewicz. Ci mężowie nieraz te myśli rzucali. Ale takie jest nieszczęście naszego narodu, że jedno pokolenie z doświadczenia przeszłego pokolenia nie korzystało. Młodzież porywcza nie dosyć na rady starszych uważa. Zarozumiałość i nieuszanowanie dla starszych początek wieku XIX nacechowały, a tam się wylęgły wielkie wady, które nas do zguby popchnęły. Ludzie, co całe życie dla Ojczyzny żyli, mogliżby nad grobem inne mieć myśli? Krew stygnie, ale dusza nie starzeje się; im więcej się pozbywa ziemskiej powłoki, tem świat widzi czystszy. Oko duszy starca daleko nieraz wygląda, ale ciało nie ma siły, a bez energii młodzieńczej każda myśl kona w powiciu.

Cobądź wracając się do kasztelana Łempickiego, który, wyniesiony na stopień senatorski, zawsze ten sam rozsądek zachował, nadmienić muszę, że familja ta i po 1830 roku czystości uczuć patryjotycznych żadną plamką nie przyćmiła.

Państwo Łempiccy, mając dziewięcioro żyjących dzieci, poświęcili się zupełnie edukacji tychże; w kraju, gdzie rząd systematycznie działa, aby światło przytłumić, kształcić w zaciszu domowem liczne potomstwo, wpajać cnoty i wiarę przodków—jest to stawiać wielką, lecz stanowczą opozycję woli samowładnej, jest to najlepiej Ojczyźnie się zasłużyć.

Pokochałem ten dom, bo serce łatwo się skłania do osób, do których wiąże nas szacunek; wkrótce też wydali zamąż najstarszą córkę, łagodnością i cnotami najpodobniejszą do matki, za sąsiada mego, hr. Lubienieckiego; to więc bliższe jeszcze stosunki i częstszą sposobność widywania tej przyjemnej rodziny nastęrczyło. Niedługo jednak i tem się cieszyłem, gdyż wkrótce i pani Łempicka, ta zacna i rozumna Polka, przeniosła się do wieczności.

Dla młodszych dzieci prawdziwe szczęście, że został ojciec, który i matkę zastąpić umiał.

O innych też znajomościach moich nie wspominam, bo zamiarem pisma tego nie jest chlubić się z pięknych stosunków, ale zostawić pamiątkę mego życia dla dzieci i krewnych, która też nikogo więcej obchodzić nie będzie. Winienem tu jednak Bogu podziękować, że nigdy nie miałem złych znajomości, i że osoby, do których miałem jaką skłonność, zawsze jej godne były.

W Tuczepach mieszkając, odebrałem smutną wiadomość o słabości Ojca mego, który, przyjechawszy do swojej córki, pani Bukowińskiej, w Hucie Nowej pod Św. Krzyżem mieszkającej, ciężko zachorował. Matka bowiem moja rokiem pierwej umarła w Nosowie i pochowana w Waśniowie, gdzie nawet siostra moja, pani Trepkowa, kamień grobowy z jej imieniem położyła. Już zaraz po śmierci matki nie przewidywałem długiego życia dla ojca, bo, lubo umysł jego nie był egzaltowany i lubo, długo żyjąc umiał wszelkie przygody życia z wytrwałością przyjmować, jednak śmierć małżonki, śmierć najlepszej przyjaciółki, która, przeszło 30 lat z nim żyjąc, jego tylko kochała i nad własne zdrowie pielęgnowała, która była obrazem bogobojnej niewiasty i najczulszej żony, głębokie wrażenie na ojcu moim uczyniła.

Przyjechawszy do Huty, wpadłem do Kielc i przywiozłem doktora Frajera. Lekarz ten zaraz mi powiedział, że choroba ta nie ma żadnego charakteru, że wiek późny jest samą chorobą. W samej rzeczy świeczka się dopaliła. Ojciec mój nie umarł, lecz zasnął prawie. Z wieczora i w nocy, będąc mocniej słaby, kilka razy pytał się o 7 godzinę: „Czy siódma już wybiła?“ To samo pytanie o północy powtórzył: „Czy siódma daleko?“ Brano to za niejaki osłabienie umysłu, lecz zdziwili się wszyscy, gdy punkt o 7 ojciec mój skonał.



Ze łzami patrzałem na ostatnie cierpienia szanownego starca, ukrywałem boleść, nie chcąc bardziej rozdzierać serca sióstr i powiększać płaczu wnucząt i wnuków małych.

Najmocniejsze to ogniwo, które więzi rodziców z dziećmi. Jakżebyśmy radzi głos ich za grobem usłyszeć. Jak kochać, Im służyć, oddać Im majątek, życie i proch z Ich stopy ścierać. Nie czas już, nie czas, lecz pamiętajmy, że z porządku rzeczy starsi młodszym ustąpić muszą, pielęgnujmy drogie dni rodziców, aby kiedyś sumienie nasze nie powiedziało: „już zapóźno“.

---



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAŃ  
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63







F

12984